

ZBIGNIEW HOŁDA

ur. 1950; Ełk



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, Włodawa, PRL, stan wojenny, aresztowanie, internowanie, ośrodek internowania we Włodawie, ośrodki internowania, warunki, paczki, wizyty, warunki sanitarne, wyżywienie, spacer, strażnicy, SB

Warunki w ośrodku internowania we Włodawie

Warunki były PRL-owskie oczywiście, to jasne. Na początku gorsze, potem lepsze, bo sobie internowali potrafili jakoś oswoić to miejsce, jakoś zmienić postawy tych, funkcjonariuszy z wrogich na dosyć nawet przyjazne. Po pewnym czasie pojawiły się wizyty rodzin albo jakieś paczki żywnościowe od związkowców zachodnich. W styczniu zaczęły przychodzić te paczki żywnościowe, też [wtedy zaczęły się] wizyty rodzin, czyli przez styczeń to się poprawiało wyraźnie. Jednak te ciasne cele, prawda, PRL-owskie, marne. Dzisiaj Komitet Zapobiegania Torturom Rady Europy by uznał je za nieludzkie albo poniżające. Łaźnia na dole, jak to w więzieniach polskich, prysznic. Teoretycznie kąpiel raz w tygodniu, ale można było wynegocjować z lekarzem więziennym, porządnym człowiekiem był pan Łukaniuk, że uznawał, że jakieś tam choroby skóry nas trapią i nam przypisywał częstszą kąpiel niż raz w tygodniu. To niektórzy mieli codziennie nawet, niektórzy co dwa dni. Ja też kiedyś poszedłem, powiedziałem, że nie będę kłamał, ale chcę się częściej kąpać, to też mi dał na jakiś czas chyba co dwa dni kąpiel. Ale w sumie to było tak, że taka duża grupa internowanych we Włodawie miała tę częstszą kąpiel, że można było tak trochę na „świński ryj”, jak mówią studenci, prawda – jak dwóch w celi miało kąpiel, to ten trzeci czy czwarty się dołączał, a klawisze mówili: „A, dobrze, może być”. W miarę potrzeby specjaliści byli wzywani, koledzy mówili – tam kogoś oko boli, kogoś tam [coś], to przyjeżdżali specjaliści, także z Lublina. Tak jak więzienna służba zdrowia to wyglądało.

Pod koniec naszego pobytu, w marcu i we Włodawie jako tako [było]. We Włodawie na początku byli tacy gburowaci, nieprzyjemni, podejrzliwi [strażnicy], zajęło parę dni, zanim się dało ich jakoś tam oswoić – że tak powiem – nauczyć pukania do drzwi, mówienia „dzień dobry”, „do widzenia”. Po paru tygodniach już byli w większości całkiem przyzwoici, a w Lublinie od początku byli bardzo kulturalni, od pierwszych

godzin, jak żeśmy przyjechali.

Taki był rytuał, że ubecy [esbecy – red.] nasi lubelscy przyjeżdżali z rzadka, bo byli leniwi. Do nas był porucznik Sacewicz przydzielony i jeszcze drugi, którego nazwiska zapomniałem. Raz chyba zjawił się Kawecki, taki wyższej rangi ubek [esbek – red.], mówiono – szef Sekcji Akademickiej SB. Ci lubelscy to rzadko [bywali], nie chcieli im się do Włodawy przyjeżdżać. Zdawkowo wykonywali swoje czynności, a czasami zaczepili, gadali, tłumaczyli ten stan wojenny, że dobrze, że został zrobiony, nic szczególnego. Natomiast ci oficerowie z wojewódzkich komend z Chełma, z Zamościa, z Siedlec, Białej Podlaskiej jacyś tacy aktywniejsi byli, przyjeżdżali codziennie do tej Włodawy z jakimiś teczkami skórzanymi i jakoś usiłowali przesłuchiwać tych internowanych. Ja byłem lubelski internowany, to się nikomu chyba nie chciało za bardzo, w szczególności Sacewiczowi, nas czepiać. Ale myśmy ich sami prowokowali, na przykład tłumacząc, że tu internowali robotniczych działaczy w rocznicę powstania partii Proletariat Ludwika Waryńskiego. „Ludwik Waryński, taki wielki rewolucjonista”, myśmy ich trochę prowokowali. To na przykład Sacewicz mnie przekonywał, że nie, nie mam racji, że stan wojenny mógł być bardziej surowy, niż jest, tak coś tłumaczył.

To nie było chyba możliwe, żeby człowieka Solidarności uderzył funkcjonariusz służby więziennej. Były te konflikty, była ta pacyfikacja Kwidzyna i tak dalej, ale to później, w naszym regionie to nie było możliwe, w ogóle nie do wyobrażenia.

We Włodawie [wyżywienie było] marne, aleśmy sobie sami radzili, bo mieliśmy dużo żywności od kolegów związkowców z Zachodu czy od rodzin. Czyli tak bardzośmy nie polegali na tej ichniej kuchni. A po drugie toczyliśmy jakąś bitwę o to, żeby to jedzenie było lepsze, w szczególności Leszek Paga, który był też harcerzem zasłużonym, jakoś umiał krytykować kuchnię. Potem biskup Mazur przywoził jakieś warzywa czy coś tam, to było lepsze, ale – powtarzam – potem już nie bardzośmy polegali na tym jedzeniu więziennym włodawskim, bośmy mieli sporo dobrego jedzenia z Zachodu. Śniadanie, no to jakiś tam kawałek chleba, czegoś tam. Potem obiad, no to była jakaś zupa, jakieś drugie danie, na kolację znowu jakiś kawałek chleba i herbata z czymś, no, nie wiem, z pasztetem czy z wędliną. No, nie było to dobre.

[W paczkach] było lepsze zaopatrzenie niż na zewnątrz. Wtedy nauczyłem się pić kawę z mlekiem, puszki z masłem holenderskim przychodziły, kawa, mleko w proszku, salami jakoś bardzo dużo było zawsze, pamiętam, ser żółty. To było zawsze dobre, niektórzy koledzy to w ogóle już nie jedli tego, co im kuchnia oferowała.

Według regulaminu [wizyty] jakoś wypadały raz na tydzień, ale ja już nie pamiętam. Nie pamiętam tego regulaminu internowania. Trzeba było dostać zgodę i tę zgodę dostawały rodziny. Dosyć często już te widzenia były, nie powiem, że co tydzień, choć może i nawet już co tydzień później. W Lublinie to już co tydzień. Regulamin był, godzina, tak jak dla tymczasowo aresztowanych. tak średnio kontrolowane. Pokój, stoły długie, przy stołach siedzieli z jednej strony odwiedzający, z drugiej internowani,

a gdzieś tam w kącie siedział funkcjonariusz służby więziennej i się przyglądał. To na tym polegało. Jakimiś grupami [były te widzenia], o dziesiątej, o jedenastej, o dwunastej – coś takiego. W Lublinie to już było tak, że w świetlicy te widzenia były. Według przepisów prawa penitencjarnego polskiego ówczesnego i dzisiejszego [mogły ubiegać się o widzenie] osoby najbliższe, czyli rodziny, można było dopisać jako osobę najbliższą na przykład narzeczoną, pisało się: imię, nazwisko, osoba najbliższa i też dostawała zgodę. [Odwiedzali mnie] żona i dzieci, to też [była] odrębna zgoda, bo dzieci małoletnie, a także z uniwersytetu – taki gest ładny zrobili – rektor Baszyński, dziekan Reniger, pani dziekan Sękowska odwiedzili nas kiedyś we Włodawie – pracowników uniwersytetu.

Nie byliśmy najgorzej traktowani, w szczególności ludzie z uniwersytetów nie byli źle traktowani. W Lublinie to w ogóle wszyscy byli bardzo dobrze traktowani, warunki były o niebo lepsze. Internowani to inteligentni, dowcipni ludzie, więc się zdarzały [zabawne sytuacje], choć niektórzy mieli strategię takiej jakby walki z funkcjonariuszami, wszczynania konfliktów, ale większość z nas zachowywała się w sposób spokojny, niewrogi wobec funkcjonariuszy służby więziennej, bo cóż oni zawinili. To jako tako wyglądało. Z Włodawy pamiętam, jak zbudowali koledzy z Puław ze śniegu bałwana, ubrali go jak Jaruzelskiego i tam jakieś tańce odprawialiśmy wokół tego. I to była taka głupia sytuacja, bo nie wiedzieli funkcjonariusze służby więziennej, co robić. No bo Jaruzelski. W końcu jakeśmy skończyli naszą godzinę spaceru – bo dopókiśmy spacerowali, to oni nas nie wyrzucili z tego placu spacerowego – przyprowadzili takiego więźnia pospolitego, któremu dali łopatę i kazali tego Jaruzelskiego zniszczyć. Myśmy wszyscy w oknach stali, śmiali się, mówili temu chłopu, żeby nie niszczył Jaruzelskiego, bo zostanie skazany za zamach na Jaruzelskiego. Mieliśmy pół dnia zabawy, no, to koledzy z Puław wymyślili – na przykład. Dawali nam za dużo niedobrego chleba, no to zorientowali się [koledzy], że chyba ten chleb jest potrzebny po to, żeby jakieś zwierzęta karmić, prawda. Internowani dostają chleb, ale nie jedzą, to się ten chleb zabiera i używa na przykład do – nie wiem – karmienia świń. Nocą na takim patyku wystawili lusterko nasi koledzy i zobaczyli, że podjeżdża właśnie samochód i któryś z tych funkcjonariuszy zabiera jakąś paszę dla świń. Następnego dnia o tym zaczęli tym funkcjonariuszom mówić, że wszystko to wykryli, tamtym było głupio, no bo to opierało się wszystko na tym, że oni kradli dużo tej żywności. Nikt tego chleba, który dawali normalnie, nie jadł, tylko szło się do lekarza i prosiło się, żeby przynajmniej jednemu człowiekowi z celi zapisać biały chleb, a wystarczało dla wszystkich tego chleba lepszego. Kiedyś, pamiętam, Łupina zarządził jakąś demonstrację patriotyczną, flagę biało-czerwoną zarzucił na płot wysoki, „Panowie – powiedział – do hymnu” i wszyscy śpiewali hymn, to też kławisze się nieswojo czuli, no bo tu hymn śpiewają, tu się dziwnie zachowują.

Świetlica była, w której był telewizor i jakieś gry – ping pong, coś tam jeszcze, jakieś szachy. A na placu spacerowym nic nie było. Teraz tam we Włodawie jest lepiej, bo

jest piasek i grają w piłkę plażową więźniowie. Tak za naszych czasów nie było, skromny plac, ławki – tyle.

Raz internowany wyszedł, odprowadził rodzinę na stację autobusową czy kolejową, wrócił i nie chcieli go wpuścić, dopiero im musiał wytłumaczyć, że on nie jest tym, który chce odwiedzać, tylko jest internowanym, który odprowadził rodzinę. Oni są gapy i go wypuścili. I potem się strasznie z tego powodu martwili, czy meldować o tym, czy nie i ten porucznik Sacewicz mnie zapytał właśnie, czy ja uważam, że tu jest przestępstwo, czy nie ma. To oczywiście było przestępstwo wobec tamtych przepisów – się sam uwolnił, ale mu powiedziałem: „Nie, nie ma tu przestępstwa”. Się ucieszył, mówi: „Ja też tak uważam i przełożonym nic nie powiem”. Wychodziła rodzina i on wyszedł z nimi. Odbierali ludzie swoje dowody osobiste, jest taki pewien ruch, jak się wychodzi z zakładu karnego. Normalnie był ubrany i sobie wyszedł, pospacerował i [wrócił] – musiał wrócić, bo jakby nie wrócił, toby go rzeczywiście złapali i osądziła za ucieczkę. A tak to psikus im zrobił.

Więźniowie wszystkie takie techniczne prace wykonywali, konserwacyjne, przychodzili do nas na nasz oddział, tak że spotykało się ich, na przykład w kuchni byli więźniowie, w łaźni, gdzieś tam przy placu spacerowym. Ale też nielegalnieśmy się z nimi kontaktowali, listy się posyłało przy pomocy takiego sznurka tam. Tak że stosunki były dobre, oni nas szanowali bardzo.

Na pewno przed grudniem musiano jakieś jedno piętro we Włodawie przystosować i to zrobiono. Tak że musieli tych więźniów z tego jednego – to pierwsze piętro [było] – zabrać. Oprócz tego żadnej tam rewolucji w zakładzie nie musiało być.

[Budynek] do dziś niestety tak samo wygląda. To jest budynek z lat siedemdziesiątych, wtedy nie był stary, ale nie najlepiej zbudowany. Tam jakiegoś dużego remontu nie było, bo ja tam byłem wtedy, jak Borowik robiła audycję. Taki szary budynek PRL, skromny, wadliwie zbudowany, była wilgoć w celach, bo tam pralnie i łaźnie były w piwnicy i jakaś wilgoć się pojawiała nawet na pierwszym piętrze. Tak to wyglądało, nie najlepiej.

Do Lublina pojechałem gdzieś w marcu, przed Wielkanocą w [19]82 roku zostałem zwolniony do domu.

Data i miejsce nagrania	2008-12-09, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"